BIGOS CZERWCOWY

Kochani!

Spędziłam półtora dnia, całkiem niespodziewanie, bardzo niedaleko od Was. Spędziłam tam długą i zimną noc przy pełni księżyca, ale niestety, warunki nie pozwalały na odwiedziny. Zadania były inne, służbowe, a nie rodzinne.
Zgodziłam się mianowicie na chwilowe niewolnictwo. Dałam się wynająć (nie sprzedać), czyli udostępnić niektóre swoje umiejętności. Ściśle mówiąc: swoją znajomość języka polskiego i niemieckiego. Ale ponieważ znajomości języków, w przeciwieństwie do języka (anatomicznego), są bezcielesne i zwykle fruwają nieuchwytnie jak anioły lub motyle, musiałam, całe moje fizyczne i ciężkie ja, jechać z nimi, uwięzionymi we mnie. Patrząc z ich strony, to one, te moje znajomości językowe, poza mną w ogóle nie przynoszą skutku, nikomu. Należą więc całkowicie do mnie, a ja oczywiście odpowiednio do nich. Nie ma już bez nich mnie (chyba się nie mylę?) - bo jak je wypędzić ze swojego ciężkiego ciała, ze swoich komórek mózgowych? A one bez tych moich komórek (mojej pamięci!), przecież też nie istnieją, do cholery.
No i dlatego musiałam udać się w podróż. W nieznane. Prawie. Bez przesady, im bardziej zbliżaliśmy się do Was, to znaczy, im bardziej oddaliliśmy się od kraju, w którym od paru lat żyję, i od mieszkania pod aniołem, tym lepiej, o dziwo, się czułam. Pogoda była potworna, nieobliczalna. Jak w kwietniu. Ulewa. Wichury. Żar. Śnieg. Wszystko naraz. W takiej pogodzie na prawdę niebezpiecznie jest zboczyć z właściwej drogi. No i tak, niestety, odwiedziny się nie zdarzyły.

Andrzej przyrządzał dla nas bigos. Nikt, na pewno, nie będzie chciał w to uwierzyć, wobec tego powtarzam i przysięgam na wszystkie martwe duszy Magury Małastowskiej: Andrzej przyrządzał dla nas bigos.

Do miejsca przeznaczenia dotarliśmy z opóźnieniem przynajmniej pół dnia. Andrzej trochę był zdziwiony, ale więcej się nie przejmował. Bigos przecież długo musi się gotować. Bigos musi dojrzewać. Jak jabłko na drzewie. Jak człowiek na ziemi. Jak mowa w mózgu. I dlatego, szczerze mówiąc, właściwie nie było po co się za bardzo spieszyć. Jechaliśmy więc ostrożnie i wolniutko okrężną, ale w dalszym ciągu właściwą drogą, zważając jak

najbardziej na nasze niedostosowane do zmienionej rzeczywistości myśli i ciała. Nie ma tu czego kryć, miałyśmy, my - nieco rozhisteryzowane berlińskie baby - wspaniałego *Stalkera* po tych prowadzących w zielone nieznane ziemiach. Nazywa się podobnie jak Andy Warhol i podobnie jak ten pochodzi stamtąd. A My, pozwólcie że się nareszcie przedstawimy: Wynajęta Ja do służby u Niej, Dziennikarki w prestiżowej ogólno-niemieckiej gazecie z zepsutym magnetofonem, o czym, chwała Bogu, nic jeszcze nie wie, bo inaczej nigdy byśmy się nie wydostały z brandenburskich piasków w te Beskidy. Nasz Stalker prowadził czerwony samochód (nieznanej mi marki), fachowo, rutynowo, przez coraz to bardziej gęsty i soczysty świat. Przyjemnie nam, mnie i jej, było na tylnych siedzeniach. Ale tymi jego ruchami, przeważnie nóg, zmianami biegów, naciskaniem hamulców, kiedy i gdzie trzeba, ostatecznie on sam decydował o tempie naszego posuwania się do przodu, na Wschód, na Południowy-Wschód (czyli do Was, jak powiedziałam przecież na początku). Nikt nam nie przeszkadzał, mimo że nic jeszcze nie wiedziałyśmy ani o bigosie, ani o zepsutym magnetofonie, ani o martwych duszach. I dobrze tak było. Stalker zwalniał od czasu do czasu liczbę obrotów silnika, skręcał w lewo lub w prawo, zatrzymywał samochód na staroświeckim rynku, przed ratuszem lub cmentarzem. Pozwolił nam wysiadać, prostować nogi, pochodzić parę kroków po bruku. W ten sposób pokazał nam miejscowości takie jak Rajbrot, Niedźwiedź, Jastrzębia, Zakliczyn, Okocim (browar!), Żerków, Ciężkowice (Skamieniałe Miasto) ... - aż nagle mi się przypomniało, że muszę koniecznie zobaczyć Kwiatonowice.

Z kuchni u Andrzeja wszystko widać. Cały świat. Jedno okno wychodzi na wschód, a drugie na południe. Kiedy nareszcie zbliżał się z daleka czerwony punkcik, to Andrzej wiedział, bo zna każdą plamę tego krajobrazu, ruchomą czy też nie, że to my. Wobec tego zmniejszył ogień pod wielkim garem, zamieszał jeszcze raz starannie drewnianą łyżką, nałożył pokrywkę i wyszedł z kuchni na ganek i przed domem czekał na nas.

W Kwiatonowicach zmokliśmy po raz pierwszy. Na samym grzbiecie pasma górskiego, które się ciągnie wysoko nad dolinami Moszczanki i Sitniczanki. Gdyby nie deszcz, mielibyśmy cudowne widoki w tę i w tamtę stronę. Stalker bezbłędnie zaprowadził mnie do byłego majątku Sczanieckich. Dom w remoncie, niedawno nabyty przez nowych właścicieli od Państwa Polskiego. Bardzo uprzejma Pani najpierw zamknęła charta polskiego, potem otwarła nam drzwi. Do tego domu, przed remontem, przed wojną, pierwszą i drugą i może

nawet trzecią, czyli przed rewolucją, przed przełomem wieków, przybyła dwudziestoletnia biedna, prosta, niewykształcona Szwajcarka Lina Bögli z nikomu nieznanej chłopskiej osady Oschwand w Berneńskim Oberaargau. Przedziwnym zbiegiem okoliczności oczywiście, bo Sczanieccy wybrali wtedy, w 1878 roku, tę Szwajcarkę spośród kilkudziesięciu miejscowych kandydatek na służącą z powodów całkowicie nieracjonalnych. Jakiś przodek rodziny uciekł po jakimś tam powstaniu z kraju i podobno znalazł schronienie w Szwajcarii u jakiejś rodziny Bögli. I dlatego Linie, którą nic z tamtą rodziną nie łączyło, bo Bögli jednak sporo w tamtych okolicach, przytrafił się taki a nie inny los. Dziennikarka z zepsutym magnetofonem, o czym nic jeszcze nie wie, zdumiona zbiegiem okoliczności, przyznała na środku głównej ulicy Kwiatonowic, że z nazwiskiem Bögli kojarzy najnudniejszy spektakl teatralny w życiu, że, co rzadko jej się zdarza, raczej nigdy, ale wtedy wyszła po dwóch godzinach, podczas przerwy w połowie przedstawienia gościnnego zespołu bazylejskiego, z *Volksbühne* przy Rosa-Luxemburg-Platz w Berlinie i poszła sobie do knajpy. Wściekła, bo jak tak można.
- Szwajcarzy mają upodobanie do nudy - pocieszam ją podczas kwiatonowickiej szarugi. – To wynika z braku otwartej przestrzeni i z braku światła słonecznego. Siedzą w ponurych dolinach, cierpią na bóle głowy z powodu suchych, ciepłych wiatrów, i są otoczeni ohydnymi mordami z nagich skał. A tu, popatrz, jakie widoki! Wyobraź sobie, jaki to musiał być dla biednego dziecka z przedalpejskich pagórków szok, wywołany pięknem i przestrzenią.
Stalker w milczeniu zapalił papierosa.
- Tutaj świat się dla niej otworzył lub zaczął. Stąd wyjechała – niezłomnie nudziłam dalej. – Ta ulica, dziś skromna asfaltowa alejka, a wtedy na pewno wąska droga polna, była jej progiem, wybiła się jak skoczek o tyczce - i wylądowała, czyli raczej wpłynęła po półtorej miesiąca na pokładzie statku „Ballarat" do największego ówczesnego portu na świecie - do Sydney.

Andrzej czekał cierpliwie aż wygramoliliśmy się z czerwono-blaszanego pudełka i prosił szybko do środka, bo akurat zanosiło się na drobną, życzliwą mżawkę. Butów nie trzeba było zdejmować, a Ona, Dziennikarka (na razie bez magnetofonu, zostawiła go w samochodzie) od razu wsiadła na niego gorliwymi pytaniami. Ja, wynajęta do służby, powtarzałam to w tę stronę, a tamto w tamtą stronę. Andrzej spokojnie kroił boczek w

cienkie plasterki, odwrócony plecami od nas, i mruczał pod nosem, że do bigosu dodaje wszystko, co ma w domu.
- Czy to prawda, że ... – tłumaczyłam wiernie każde słowo z niemieckiego.
- Nie, nieprawda – wybuchnął śmiechem. – Ale piękna legenda!
Nastawił wodę na parówki. Najpierw obiad, potem wywiad. Stanowczo. Zdecydowanie krzątał się przy piecu, plecy jego dały do zrozumienia, że nie znoszą sprzeciwu. Milczcie, komunikowały nieomylnie, czekajcie, chwalcie Boga, że pozwala Wam przecinać przestrzeń.

Cała reszta obszernej Europy zdychała z upału. Wolfgang, mój brzuchaty Niemiec, siedział w Carnetin, średniowiecznej wiosce daleko na zachodzie, nad Marną - tam, gdzie kiedyś toczyły się krwawe walki między bezczelnie pchającymi się w kierunku Paryża Niemcami a broniącymi się ze wszystkich sił Francuzami. On tam się znalazł, dzięki Bogu, dopiero dziś, czyli w czerwcu 2000 roku a nie, na przykład, we wrześniu 1914. Opracowywał starannie, cały spocony, w ogródku pod guzowatą gruszą, z Szaloną Francuzką koncepcję wystawy o wietrze, która od przyszłego roku ma objeżdżać całe Chiny. Myśląc o tym, jak pokazać światu wiatr, oparzył sobie, w niby bezwietrznym cieniu gruszy, skórę. Skórę twarzy, skórę na karku za uszami, skórę samych uszu, obrąbek i płatek, skórę przedramion i grzbietów dłoni. Po zegarku zostały mu na przegubie lewej ręki alabastrowe paski i po obrączce na palcu serdecznym, ale jej przecież nigdy nie zdejmuje, więc tego się w tej chwili tylko domyślam.

A ja, daleko od niego, blisko Was, stałam na drewnianej werandzie miniaturowego dworku wiejskiego i trzęsłam się jak liść osiki, chudej i biernej. Andrzej poczęstował piwem z puszki i zamyślony wspominał, ile się tu nasiedział, namyślał, napatrzył, naczekał wschodu słońca, który to regularnie, chwała Bogu, następował po każdej byle jakiej potwornej, bezsłownej, bezsennej nocy ponad lasem tej góry, której mu teraz, szczerze mówiąc, trochę brakuje. Bigos w tamtej kuchni bulgotał na małym ogniu. Zanim nas tu przyprowadził, Andrzej wlał do gara jeszcze pół litra Okocimia, bo bigos lubi się przypalać, zwłaszcza kiedy kucharz wychodzi na spacer. Nie padało podczas tego krótkiego momentu na drewnianej werandzie, ale lodowata wichura szarpnęła nami jakby chciała nas wymieść z tej odludnej doliny. Nikogo tu nie ma. Nikogo tu nie ma być. Jechaliśmy długo przez dzikie lasy, które porosły wioski łemkowskie, jakie znikły pod gąszczem, wioski, z których

nic więcej nie zostało oprócz murowanych grobów. Ale nawet ich trzeba szukać w gęstwinie krzaków. Gdzieś przy drodze stał kasztan, samotny i obcy.
- Kasztany tutaj nie rosną – objaśnił Andrzej. - Ktoś musiał go kiedyś posadzić.
Pewnie stał przed kościółkiem, zapewne drewnianym, bo śladu po nim nie ma. Wszystko, co ludzie wtedy zbudowali z drewna, zbutwiało, zgniło, zniknęło w zaroślach. Po wysiedleniu ludności łemkowskiej, nic tu nie zostało. My też się w końcu zwinęliśmy. Z niedopitą puszką żywca. Stalker prowadził, nadal sprawny, palił, ale nie pił. Dziennikarka wreszcie zamilkła, nic nie trzeba jej było przekładać. Ja wymarznięta. Andrzej zadumany, ale z niejaką kpiną. Że to ja w tej naszej Szwajcarii nie nauczyłam się ani trochę odporności.
Niestety nie. Ma rację. Obywatelstwo niczego człowiekowi nie zapewnia. Paszport to żadna duszogrzejka. Piwo z puszki też ochładza organizm, od wewnątrz. Piwo z butelki lub z beczki zresztą także. A do tego taki tajfun nie z tej ziemi. Co tu dużo gadać. Trzęsłam się z zimna i ze strachu.

Objeżdżała całą kulę ziemską - zanim po dziesięciu latach, wróciła do Kwiatonowic, do dworu Sczanieckich, gdzie usiadła i napisała książkę[1]1. Christoph Marthaler (z zawodu kompozytor, obywatelstwo szwajcarskie), jeden z najważniejszych, tymczasem, reżyserów „średniego pokolenia" w teatrze niemieckiego obszaru językowego, niecałe sto lat później wystawił „Podróż Liny Bögli" według własnego scenariusza. Pokazał publiczności pustą poczekalnię jakiejś stacji, gdzieś na świecie i kazał bohaterce, autentycznej Linie Bögli, czytać z własnej książki.

W drodze powrotnej pokazał nam cmentarz wojskowy. Wypielęgnowany. Piękny. Smukły. W lesie. Drewniane krzyże, niektóre z emaliowymi tabliczkami. Na nich nazwisko i stopień wojskowy. Nie wszystkich dały się odczytać. Niektórych brakowało. Po tylu latach. W głębi placyku drewniana kapliczka, z takim samym jak tamte drewnianym krzyżem, tylko większym. Pod wyblakłym świętym obrazem rymowany napis po niemiecku:

Bleibt eingedenk in eures Glückes Tagen
Dass dieser Grund von hiessem Kampf geglüht
Dass Todeswunden Tausende getragen
Damit der Sonne euch umblüht.

1 Wydanie polskie p.t. „Avanti. Listy z podróży naokoło świata." Lwów 1908

Tu, pod błędami ortograficznymi i gramatycznymi, leżą polegli w walkach pierwszej wojny światowej. Rosjanie, Ukraińcy, Niemcy, Polacy, Prusacy, Węgrzy, Austriacy, Żydzi, Katolicy, Baptyści, Protestanci, Niewierni, Muzułmanie, Ateiści, Agnostycy i nie wiem kto jeszcze. Razem. Pod krzyżem. I nic ich już nie obchodzi, czy słowo słońce po niemiecku jest rodzajem męskim czy żeńskim. Tędy przechodził front. Front wschodni. W pierwszej wojnie, i w drugiej, i w ogóle.

Wolfgang w tej właśnie chwili siedział w cieniu gruszy na miejscu byłego frontu zachodniego i, myśląc o szczegółach dotyczących wiatru, czekał na wieczorne ochłodzenie.

A ona, bohaterka najnudniejszej sztuki Marthalera, i równocześnie historyczna postać, kobieta, pisarka, podróżniczka - Lina Bögli, Szwajcarka pochodzenia chłopskiego, uciekła wtedy z Kwiatonowic w świat, przez ocean, do Australii, ponieważ bała się miłości. Po prostu. To mogłoby być piękną legendą, oczywiście, jak wszystkie piękne legendy wokół współczesnego Andrzeja, ale ja mam niezbite dowody, że rzecz ma się inaczej. Życie zawsze jest piękniejsze niż fikcja lub legenda. Lina Bögli starannie wyszlifowała własny autoportret w tekstach literackich: bohaterka i zarazem narratorka występuje jako dzielna, pracowita, odważna kobieta bez żadnego defektu, nieskalana jak Matka Boska. Bohaterka ta wybiera się z czystej nudy z Galicji, z Beskidu Niskiego, w podróż dookoła świata, bez pieniędzy, bez towarzystwa, bez żadnej pewności. Naiwna i sama, ale silna. Utrzymuje się na całej kuli ziemskiej z lekcji języków obcych: francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Ale boi się miłości.
Niedawno, po śmierci staruszki, dalekiej krewnej Liny Bögli, znaleziono na strychu wiejskiego domu w szwajcarskim Spich jej dzienniki. 26 zeszytów – raport o codziennych wydarzeniach, prowadzony regularnie od roku 1893 do 1940 – zapakowanych w szare pudełka po butach.

Z powrotem w kuchni Andrzeja, z której wszystko widać, cały świat. Rozgrzaliśmy się kieliszkiem bimbru przemyskiego, domowej roboty ojca Stalkera. Potem Dziennikarka poprosiła Andrzeja do stołu, bezpardonowo, do wywiadu. Teraz o rzeczach poważnych. W połowie zdania przerwała grzecznie odpowiadającemu Andrzejowi, przypomniała sobie, że przecież miała to nagrywać, bo nie nadąża długopisem za wypowiedzią. Przeprosiła, przerwała tok słów, poszła po magnetofon do czerwonego samochodu. Andrzej wstał i

zerknął pod pokrywkę do mrugającego na małym ogniu bigosu. Poszatkował szybko kawałek świeżej kapusty, i dodał do gara, mieszając starannie. Ja czekałam. Dziennikarka wróciła, rozdrażniona, że samochód zamknięty na klucz. A klucz pewnie u Stalkera w kieszeni. A Stalker gdzie? Zniknął. Ktoś powiedział – bo dużo ludzi oprócz nas cały czas w tej kuchni było - że widział, jak wspinał się na górę. Na jaką górę? Panika w oczach Dziennikarki była aż zabawna. No, nie tak daleko, uspokoił głos kobiety, ale tam mokro, nie na wasze wielkomiejskie buty. Andrzej, spokojnie, odstawił po raz któryś bigos, teraz ze świeżą kapustą, założył buty taternicze i nas zaprowadził. Przez mokrą łąkę, pod gołym niebem, pod górę. Słońce wyszło, zrobił się niespodziewanie upał, prawie sierpniowy. Rozluźniony Andrzej znienacka zaczął mówić, jak tu pięknie, że do końca życia chce właśnie tutaj zostać, bo się dobrze czuje, i to jest najważniejsze w życiu. Oprócz tego wszędzie ma blisko. Na Słowację, na Ukrainę, do Rumunii, do Siedmiogrodu, do Bułgarii, na Węgry, do Koniecznej, do Dukli, do Warszawy. A z Warszawy, kontynuował filuternie, możesz jechać do Berlina lub do Moskwy, w sam raz. Warszawa, stwierdził, to monstrualna i brzydka stacja przesiadkowa, a tu, zobacz, pokazał palcem, cała ta mokra łąka pod górę - to środek świata, środek Europy, stąd wszędzie mam blisko.
I znowu ma rację. Bo nawet do Szwajcarii jest blisko.

Od wiosny 1914 roku Lina Bögli mieszkała w Herzogenbuchsee w pierwszym szwajcarskim pensjonacie dla ludzi starych. Jesienią dostała kartkę od przyjaciółki z Kwiatonowic, która razem z rodziną uciekła przed walkami na froncie do czeskich Pardubic. Ostatnie słowa na kartce, podobno, brzmiały: „Bijak nie żyje, zginął śmiercią bohaterską." A w tym miejscu w starym zeszycie, tamtego dnia październikowego, wybucha wszystko, co nasza samodzielna i wyrachowana Szwajcarka dotychczas konsekwentnie zatajała: 56-letnia Lina zwierza się, opłakując śmierć oficera polskiego, z największej niespełnionej miłości jej życia, płacząc przyznaje, że wtedy uciekła od niego, starającego się o jej rękę, bo nie chciała mu zepsuć kariery przez fakt, że jest cudzoziemką chłopskiego pochodzenia, dla której nie stać by go było na kaucję oficerską (50 tysięcy koron). Dlatego wtedy postanowiła „iść na dystans" – a za stosowną formę owego dystansu uważała 10-letnią podróż dookoła świata.
Więc Bijak, oficer polski, poległy na polu bitwy w Galicji, pełniąc służbę w wojsku austriackim, może leży właśnie na jednym z tych cichych leśnych cmentarzy, pod krzyżem

drewnianym, lub też nie, pod błędami gramatycznymi, nic już nieznaczącymi, w którymkolwiek języku.
Jednak tak nie jest.

Po trzech godzinach znów jesteśmy w kuchni u Andrzeja. Odgrzewa umiejętnie bigos. Wszyscy wiemy, oprócz może zajętej włączeniem magnetofonu Dziennikarki, że bigos najlepiej smakuje dopiero po trzecim odgrzaniu, więc spokojnie, mamy dużo czasu przed sobą. I przemoczone buty na nogach, które koniecznie muszą wyschnąć, zanim znowu będziemy mogli ruszyć z miejsca. Dziennikarka wtyka kable mikrofonu i słuchawek do odpowiednich gniazdek urządzenia. Kontroluje w słuchawce dźwięki z włączonym mikrofonem: „eins, zwei, drei" mówi, a ja nie tłumaczę. Nic się nie dzieje. Andrzej cierpliwie miesza, bo bigos lubi się przypalać. „Eins, zwei, drei" powtarza z głupią miną, bo nic nie słyszy. Sprawdza jeszcze raz wszystkie kable, baterie są naładowane, więc nie wiadomo, dlaczego to „eins, zwei, drei" się nie nagrywa. Kapituluje wreszcie zdenerwowana, jednak będzie robiła notatki długopisem. A tu nasz wspaniały Stalker proponuje, żeby spróbować z jego staroświeckim dyktafonem. Dobrze. To on teraz wychodzi po dyktafon do samochodu. Ale potem się okazuje, że w dyktafonie nie ma pustej taśmy. Nie mieści się w głowie. Dziennikarka nie używa już taśm, bo jej sprzęt załatwia wszystko elektronicznie. Lub wcale. Jak się okazało. Pytam Andrzeja, odciągam go od kontemplacji nad kapustą – czy dodać jeszcze trochę świeżej czy nie? - czy nie ma jakiejś pustej taśmy lub niekoniecznie pustej, ale po prostu niepotrzebnej. Poszedł szukać. Spokojnie. Gdzieś w głębi domu. „Eins, zwei, drei" papla tamta w dalszym ciągu do martwego mikrofonu. Andrzej przynosi taśmę z reklamą kawy. Spróbujemy. Nie nagrywa się, bo najpierw trzeba dziurki pozaklejać scotchem. Andrzej, czy ty masz scotch w domu? Whisky nie ma, ale plaster owszem. Nie może się nadziwiać, to z Niemiec przyjechały, a taśmy nie mają? Wypraszam sobie. W końcu jednak wszystko gra. Z dyktafonu Stalkera słyszymy zawartość taśmy z neski: „Więcej z kawy. Więcej z życia!" gra orkiestra dęta, a głos kobiecy piszczy „*Nescafé classic* o bogatym i pełnym smaku jest najpopularniejszą kawą na świecie, smakosze kawy łączcie się z nami!"

Austriackie archiwum wojenne zawiadomiło mnie po mojej uprzejmej prośbie, że nie ma w ich dokumentach informacji o poległym w roku 1914 oficerze o nazwisku Bijak. Jedynym żołnierzem z takim nazwiskiem, który dał się odnaleźć, jest Julius Bijak, urodzony 14

września (zgadza się, Lina Bögli wspomina w dzienniku pod datą 14 IX 14 „Dziś urodziny B. Czy jeszcze żyje, a jeśli tak, czy pamięta o tym dniu w zgiełku walki?”) 1860 r w Biadolinie, w 1914 r. był pułkownikiem i komendantem 57-ego cesarsko-królewskiego pułku piechoty w Tarnowie, ale nie zginął podczas pierwszej wojny światowej, w 1918 roku awansował na generała brygady i umarł dopiero 21 kwietnia 1943 w Wadowicach. To znaczy, że żył rok i cztery miesięcy dłużej niż Lina.
Nie wiem, czy Lina, ta szwajcarska Karolina, dowiedziała się kiedyś, że przeżył.
Ale nie ma to już żadnego znaczenia. Ważne tylko, że tamtego dnia, z głębi jej serca, wybuchły tyle lat skrywane emocje.

No i wróciłyśmy nocnym pociągiem do Berlina. Z twardymi grudkami tamtej łąki na butach. Z zeszytem pełnym notatek nie do rozszyfrowania. Z bigosem burczującym w brzuchu. Pociąg spóźnił się ponad godzinę. Na peronie czekał cierpliwie, wróciwszy w nocy z Paryża, mój Najdroższy z czerwonym nosem.
Ściskam!

Boże Ciało 2000
© Judith Arlt